

MAGIA
• • • • •
ŻYCIA

DR WAYNE W. DYER
LYNN LAUBER

MÓJ NAJLEPSZY NAUCZYCIEL

Od nienawiści do miłości



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
lepiej - lepiej - lepiej

**MÓJ NAJLEPSZY
NAUCZYCIEL**

MAGIA YCIA

Ksi ka powstała w ramach unikalnego projektu inspirowanego głosami Czytelników.

Wybitnym autorom, zwi zanyym z duchow stron ycia, zaproponowano spisanie krótkich historii „z ycia wzi tych”, które ilustruj cud – doskonało naszego istnienia, magi ycia. W projekcie wzi li udział m.in. Gregg Braden, Louise L. Hay i dr Wayne W. Dyer.

Ka dy z nich stworzył swoiste przesłanie prawdziwego obrazu ycia danego ka demu z nas.

W skład serii „Magia ycia” wchodz :

1. Maluj c przyszło . Od tragedii do szcz cia
– Louise L. Hay i Lynn Lauber
2. Mój najlepszy nauczyciel. Od nienawi ci do miło ci
– Dr Wayne W. Dyer i Lynn Lauber
3. Kwantowa wi . Od zyki do cudów – Gregg Braden i Lynn Lauber (premiera w listopadzie 2012)

Kolejne tytuły w przygotowaniu.

**DR WAYNE W. DYER
LYNN LAUBER**

MÓJ NAJLEPSZY NAUCZYCIEL

Od nienawi ci do miło ci

Y"qrctekw"q"uegpctkwu|"Łn o q y {
cwwqtuv y c"Mtkuvgp"Nc |ctkcp"k"Oke jcgnc" Iqqtlkpc

Sluchaj Radia HayHouse na www.hayhouseradio.com



**STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII**
jeszcze lepsze jutro

Redakcja: Mariusz Warda
Skład: Tomasz Pilasiewicz
Projekt okładki: Piotr Pisiak
Tłumaczenie: Bartłomiej Kotarski

Wydanie I
BIAŁYSTOK 2012
ISBN 978-83-7377-547-3

Tytuł oryginału: *My greatest teacher*
Copyright © 2012 by Wayne W. Dyer
Originally published in 2012 by Hay House Inc. USA Ltd.

© Copyright for the Polish edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2012.
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

Cwwqt|{"pkpklglu|gl"muk mk"pkg"wf|kgncl "rqtf"ogf{e|p{ej"cpk"pkg"}cngocl "uvquycpkc"
cfp{ej"vgejpkm"lcmq"vgtcrk"y"rt|{rcfmw"lcmkejmqnykgm"rtqdnqo»y"Ł|{e|p{ej."
goqelqpcp{ej"cpk"ogf{e|p{ej"dg|"dg|rq tgfplg|d f "rq tgfplg|mqpuwmccl"}"ngmct|g"o"
\coektg"o"cwvqt»y"lguv"lgf{pkg"rt|gfuvcykpgk"qi»np{ej"kpht"o"celk."m»tg"wfvcyk "rqft» "mw"
goqelqpcnpgo"wk"fwelj"qy"ow"fqdtq{vqy"kl"Ocu|"qe|{yk ekg"rtcy"q"uvquycpkc"kpht"o"celk"
|cycvt{ej"y"pkpklglu|gl"rwdnkmccl"pc"y"fcup{"w {vgm."lgfpcm"y"vcmk"o"rt|{rcfmw"cpk"cwvqt|{"."
cpk"y{fcyec"pkg"dkqt "pc"ukgdg" cfpgl"qfrqykgf|kcpq ek|c"vyqlg"e|{p{0

Pkpkglu|c"muk mc"lguv"qrqykg ek "Łme|lp 0"Kokqpc."rqvcek."okgluec"k"y{fct|gpkc"
u "y{o{ufg"o"cwvqt»y"0"lcmkqmnykgm"rtfqdkg uv"yq"fq"t|ge|{y"kuv{ej"y{fct|g ."
okglue"mwd"qu»d" {l e{ej"df " |octf{ej"lguv"e|{uv"rt|{rcfmqygl



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – www.talizman.pl – detal
sklep rmowy: Białystok, ul. Antoniuk Fabr. 55/20

Więcej informacji znajdziesz na portalu www.psychotronika.pl

PRINTED IN POLAND

„Wybaczenie to zapach,
który ołek zostawia na stopie,
która go zdeptała”.

– Mark Twain



GdłghfYVW

Rozdział 1	9
Rozdział 2	25
Rozdział 3	31
Rozdział 4	43
Rozdział 5	53
Rozdział 6	69
Rozdział 7	85
Rozdział 8	97
O autorach	101



F c nXjU %

Kaplica *Chapel of the Chimes* była jedynym budynkiem z białej cegły. Przypominała siedzibę banku i miała tam nawet okno do obsługi klientów zmotoryzowanych, które teraz zabito deskami. Ryan Kilgore dostrzegł je, przejechał przez parking.

Zachowywał się jakby szukał miejsca na postój, ale tak naprawdę po prostu czekał. W czasie wielogodzinnej podróży był pod działaniem jakiejś dziwnej adrenaliny, teraz jednak, gdy w końcu dotarł na miejsce, poczuł nieprzyjemny smak kwasu wypełniającego go do deka. Nie miał pewności, czy w ogóle powinien wchodzić do rodka. Przyszła mu ochota, by znaleźć wolną ławkę i cieszyć się ciepłem letniego słońca, ale teraz nie było już na to czasu.

Ryan był czterdziestoletnim chudym i gładko ogolonym mężczyzną o krótko przyciętych włosach koloru srebrny blond i pełnych melancholii oczach. Ludzie zawsze powtarzali mu „Uśmiechnij się, nie jest tak źle!”, ale Ryan nie wiedział, o co im chodzi.

Już od godziny krącił się po małym miasteczku na przedmieściach Detroit w stanie Michigan. Po nocy spędzonej w tanim hotelu przy autostradzie nie mógł

znale kawiarni. Kaw znalazł jedynie w restauracji McDonald's, miejscu znienawidzonym przez jego syna Logana, który dokładnie wiedział, ile tłuszczu zawiera Big Mac. Ryan rozpaczliwie potrzebował jednak kofeiny i soli, doł czył wi c do posuwaj cej si w limaczym tempie kolejki pojazdów i w akcie desperacji zamówił du kaw , kanapkę z jajkiem i placek ziemniaczany. Pochłon ł jedzenie, siedz c we wci pracuj cym samochodzie, ale przez po piech zaplamil sobie spodnie tłuszczem. Nast pnie starannie ukrył torb i kubek po kawie pod siedzeniem, jak gdyby były to co najmniej strzykawki po narkotykach i ponownie powrócił na parking przy kaplicy – ten sam, przez który przeje d al ju trzykrotnie.

W ko cu zaparkował. Siedz c w samochodzie przy otwartych oknach, obserwował, jak starzy ludzie powoli wpełzaj do rodka, wspomagaj c si laskami i balkonikami. M czy ni mieli na sobie niedopasowane garnitury pachn ce cedrem i kulkami na mole. Kobiety o szerokich biodrach i zwiotczalych twarzach w okularach z przyciemnionymi szklami ubrane były w kwieciste sukienki i małe akiety lub obszerne kostiumy z mosi - nymi guzikami. Były to stroje, które pami tał z czasów, gdy bywał w ko cie jako dziecko.

Zanim wysiadł z samochodu, wyj ł z kieszeni wyblakłe zdj cie, które nosił ze sob od dawna. Przez ponad czterdzie ci lat jego głównym zaj cciem było poszukiwanie m czyzny z fotogra i – zaginionego ojca.

Był ciepły, sierpniowy dzie , a wszystko wokół połykiwało złotym blaskiem. Ryan wpatrywał si w lusterko

wsteczne – próbował się ogarnąć i nadać swojej twarzy wyraz pełen autorytetu i siły, tak jak robił to przed zajęciami. Wysunął do przodu podbródek i podniósł brwi. Nie przyniosło to rezultatu. Gdy zerknął w boczne lustro, spostrzegł, że wygląda wyrażenie gorzej niż zwykle. Był przytępiony i wycieńczony.

„Obiekty w lusterku wstecznym są bliźsze, niż może się wydawać” – głosił biały napis na powierzchni lustra, ale Ryan z początku mimowolnie przeczytał „starsze, niż może się wydawać”. Ostatnio robił to niemal bez przerwy – przekręcał znaki i nagłówki. Co się z nim działo?

Tu obok niego, na siedzeniu pasażera leżało kilka otwartych pudeł z książkami z jego imieniem i nazwiskiem na okładce i zdjęciami na rewersie:

DR RYAN KILGORE, ST. JOHN'S UNIVERSITY

*Amorczna Ziemia: W jaki sposób niszczymy nasz pełną
rodnorodność planet, kultura po kulturze.*

Druga książka nosiła tytuł „Gromadzenie danych podczas rytuałów plemiennych na przykładzie plemienia Mayoruna z Brazylii”.

Książki traktowały o zagadnieniach bardziej cichych istot jego przeszło dwudziestoletniej pracy na uniwersytecie St. John's mieszczącej się w nowojorskiej dzielnicy Queens. Zaczynał jako pomocnik pracujący przy biurku w wynajętym pomieszczeniu, a skończył jako profesor – z własnym biurem i eleganckim zdjęciem na stronie internetowej uczelni. Wykładał socjologię, ekologię i zoologię, choć jego praca doktorska dotyczyła antropologii

społecznej. Atutem nauczania była dla niego możliwość dysponowania pokonnym budżetem, dzięki czemu mógł swobodnie podróżować. Doceniał także płynący z tytułu naukowego prestiżu – przy każdej okazji posługiwał się skrótem „dr” przed nazwiskiem, a gdy mylono go z doktorem nauk medycznych, był tym tak uradowany, że nigdy nie korygował tej pomyłki.

Jak dotychczas napisane przez niego książki trafiły do bardzo wąskiego grona odbiorców, w większości studentów, gdy na swoich zajęciach polecił obie pozycje jako lekturę obowiązkową. Nie było to najtrafniejsze posunięcie, ale uczynił tak, ponieważ uwielbiał wchodzić do sali, w której siedziało dwadzieścia osób trzymających w rękach książki z jego imieniem i nazwiskiem na okładce.

Wydawało się, że nikt inny nie będzie zainteresowany zgłębieniem wiedzy na temat zalet zapomnianych przez świat plemion. Jednak to właśnie takie tematy ekscytowały Ryana – cywilizacja, która niechybnie upadnie, jeżeli ludzie nie docenią potęgi wiedzy starożytnej. Zdaniem jego siostry, Sophie, wyrażenie powyższego przekonania nie było najlepszym sposobem na rozpoczęcie rozmowy. Podczas dziesięciu lat małżeństwa kobieta wykształciła w sobie pełen cierpliwością wyraz twarzy, który Ryan widywał nigdy tak często u swoich byłych partnerek. Miał złudną nadzieję, że gdy na własną rękę wydrukuje swoje książki, pojawi się jakiś wydawca, który będzie chciał wykupić do nich prawa. Taka właśnie powszechna opinia panowała wśród profesorów z jego wydziału, a po jakimś czasie Ryan też tak zaczął myśleć.

Nic podobnego się jednak nie wydarzyło. Miał dwie szafy pełne księzek, które przeczytało nie więcej niż 50 osób. W jego głowie pojawiła się myśl, że może dać jeden egzemplarz ojcu. Ale co dalej? Ojciec zaniemówił z wrażenia pod wpływem talentu porzuconego przez siebie syna? Tego typu fantazje były zbyt głupie, by w ogóle o nich myśleć. Ryan zarzucił na podłogę z księkami rękoczynik, jakby chciał ukryć je nawet przed samym sobą.

Nagle zadzwonił telefon – to była Sophie. Gdy wyjechał wczoraj, była w trakcie przygotowania do przyjęcia z okazji dziesięciu urodzin Logana – prawdopodobnie dzwoniła, by ponarzekać na „brak zaangażowania” ze strony Ryana. Nie odebrał połączenia i włożył telefon z powrotem do kieszeni. To sprawa na później, on miał teraz wystarczać co do siebie na głowie.

Ryan raz jeszcze spojrzął na wyblakłe zdjęcie ojca. Kiedy zostało zrobione, ojciec był tym samym mężczyzną pięćdziesięcioletnim, przystojnym na swój zniszczony sposób, tak jakby rysy jego twarzy uległy erozji pod wpływem złej pogody. Stał przy ciemnym biurku, miał na sobie biały kowbojski kapelusz, a w jego oczach widać było zadziorność. To właśnie Robert Kilgore, człowiek, który opucił Ryana i jego rodzinę.

Ryan słyszał wiele historii na temat tego, dokąd udał się jego ojciec i czym zajmował się przez te wszystkie lata – stanowiły one zbitek fragmentów zasłyszanych rozmów oraz wytworów bujnej fantazji Ryana i jego brata z czasów ich dzieciństwa.

Jedna z wersji głosiła, że Robert podróżyował wzdłuż i wszerz kraju, pojawiając się na jarmarkach i festynach,

inna, e harował w stadninach koni na rodkowym zachodzie kraju, jeszcze inna, e pracował na wirowiskach lub w zakładach przetwórstwa rybnego na zachodzie.

– Zało si , e jest pilotem – powiedział raz Dave, starszy brat Ryana. – Prawdopodobnie pracuje dla TWA¹ lub jednej z tych wielkich spółek. Mo e lata za darmo dok d tylko chce.

– My l , e pracuje w policji – zgadywał Jim, najstarszy z braci. – Pewnie działa pod przykrywk . Mo e pracuje dla wydziału antynarkotykowego. Na pewno ma jedn z tych prz y z kabur noszonych pod kurtk .

Dla Ryana wszystkie te wersje brzmiały jednakowo niedorzecznie. Trudno mu było wyobrazi sobie ojca wykonuj cego jak kolwiek prac . Było jednak kilka opinii, które sływał wielokrotnie – jego ojciec był pono bardzo porywczy, zazdrosny i miał zamiłowanie do ginu. To akurat wydawało mu si wiarygodne. Przez lata matka nie chciała o nim rozmawia i jedynie potwierdzała podejrzenia chłopców co do tego, i ojciec ich opu cił.

Ryan wzi ł gł boki oddech, wysiadł z samochodu i zbli ył si do wej cia prowadz cego do domu pogrzebowego. W kaplicy było zimno, na podłodze le ały wyblakłe dywany, a dookoła rozlegał si stłumiony d wi k organów. W oddzielonych od siebie pomieszczeniach – opatrzonych nazwami takimi jak „Spokój” czy „Wyciszenie” – ludzie cicho rozmawiali lub siedzieli na rozkładanych krzesłach. Wi kszo kaplic miała ekrany, na których wy wietlano raz za razem zdj cia zmarłych.

¹ Trans World Airlines – ameryka skie linie lotnicze, w 2001 roku wykupione przez inn spółk , American Airlines.

Ryan zajrzał do jednej z sal, widząc jak w ciszy na ścianie raz po raz pojawiają się zdjęcia z narodzin, wręczenia dyplomów i lubu – rodzaj hołdu dla leżącego w trumnie młodziuchny ubranego w szary garnitur. Hołdu, który zdawał się nikogo nie interesować.

U babci Ryana wszystko wyglądało inaczej. Gdy wszedł do sali o nazwie „Spokój”, zobaczył tablicę informacyjną, do której przyczepiono kilka wyblakłych zdjęć z Polaroidu. Nabelestwo pogrzebowe już się zaczęło, a Ryan trzymał głowę nisko, nie chcąc, by go zauważyła.

Z przodu sali, za migoczącymi wiecami, pastor pełnym patosu głosem przemawiał na temat odkupienia, wierności i pobożności. Sprawiało to wrażenie, jakby mówił o jakiejś bliżej nieznannej starej kobiecie, której nigdy w życiu nie spotkał.

Ryan wziął plan nabelestwa od rumianej kobiety wskazującej przybyłym miejsca. Miała fryzurę typu *flip*, białoplisowaną bluzkę oraz koliste kolczyki i spojrzała na niego tak, jakby go znała. Plan rozpoczynał się od słów „W spokoju” i ozdobiony był motywem lilii oraz rozmazanym zdjęciem kobiety, na widok którego Ryan o mało nie padł na kolana.

Anne Mary Kilgore. Prawdopodobnie było to zdjęcie wykonane w kościele. Widać było na nim bladą twarz kobiety, porożniętą zmarszczkami i patrzącą w stronę obiektywu z surowym wyrazem. Twarz zdawała się mówić: „*Taka właśnie nie jestem. Albo ci się to podoba, albo nie*”. Ryan gwałtownie usiadł w jednym z ostatnich rzędów.

Znowu patrzył na matkę swojego ojca – kobietę, której nie widział od ponad czterdziestu lat. Była wtedy na pik-

niku, na który zabrała go matka tu po tym, jak odszedł od nich ojciec. Jej obecność miała zapewne dać mu poczucie bycia z rodziną. Zapamiętał Anne Mary jako kobietę chudą i zgorzkniałą. Nie była to babcia, której się spodziewał. Przytulanie się do niej sprawiało wrażenie obejmowania drucianej siatki.

Cóż, może na było powiedzie o życiu Anne Mary Kilgore? Sądząc po biuletynie kościelnym, niewiele – poza datą urodzenia i imię oraz list dziecku, na której drugiej pozycji zajmował zaginiony niecnota, ojciec Ryana.

Babcia Anne spoczywała w wyszukanej, eleganckiej trumnie wystawionej w przedniej części sali, a jej zniszczona twarz widoczna była nawet z drugiego końca pomieszczenia. Ryan stał w wolno posuwającej się naprzód kolejce i starał się to wszystko ogarnąć. Pomieszczenie wypełnione było bukietami kwiatów rzadko widywanych na co dzień, a co dopiero w takich kombinacjach: ogniste mieczyki, aromatyczne goździki i woskowo blade lilie wydzielające mdłą słodycz. W otoku Ryana przewracało się zjedzone rano tłuste jedzenie i wypita kawa.

Sama trumna wyglądała jakby stanowiła najbardziej luksusowy z dostępnych modeli – obszyta satyną i wykonana z materiału przypominającego tytan – sprawiała wrażenie statku kosmicznego mającego zabrać babci Anne do innego świata.

Kto za to wszystko zapłacił i dlaczego? To wszystko dla kobiety, która z pewnością była w całym swoim życiu nigdy nie miała w ręku prawdziwej satyny? Jeśli pamiętała go nie myliła, babcia nosiła podomki, fartuchy i zdarte buty.

Dlaczego nikt nie kupił jej futra lub kwiatów, gdy jeszcze żyła? Wtedy mogłaby się przynajmniej tym wszystkim nacieszyć. Jaki jest sens opatulania jej w sate-
n teraz – u progu wieczności ci lub czegośkolwiek, co jej obecnie czekało?

Przerwał myślenie. Sophie twierdziła, że zawsze tak się zachowywał, gdy ogarniały go głębsze uczucia – rozpraszał sam siebie za pomocą ironii i argumentów intelektualnych.

– Zachowujesz się tak, jakby wszyscy pochodzili ze świata twoich księzek o antropologii, jakby nikt nie miał z tobą nic wspólnego.

– Nie wiem o czym mówisz – odparł chłodno Ryan.

– Ha – powiedziała Sophie – Znowu to samo. Zawsze jesteś ponad wszystkim. Wydaje ci się, że każdego zaszukawałeś i jesteś od wszystkich lepszy.

– To niedorzeczne! – Ryan rozumiał, że nie jest w stanie jej przekonać i w końcu przestał próbować.

W rzeczywistości ci nawet jego ona zdziwiłaby się, gdyby odkryła, jak niskie miał o sobie mniemanie, ile niepewności tkwiło pod maską pompatyczności i w jak wielkim stopniu potrzeba reasekuracji napędzała jego chęć udowodnienia swojej racji i powiedzenia ostatecznego słowa w każdej dyskusji.

Ryan uwiadomił sobie, że w pomieszczeniu, w którym się znajdował, obecnych jest zapewne pełno jego kuzynów, siostrzeńców i ciotek. Nikt z tych ludzi go nie obchodził, zależało mu na odnalezieniu tylko jednej osoby. Jeśli nie mógł zobaczyć swojego ojca, nie chciał patrzeć na nikogo. Wyjtkiem była zmarła po osiemdzie-

si ciu dziewi ciu latach niew tpliwie ci kiego i pełnego rozczarowania – babcia.

Ryan stał naprzeciw trumny, widząc mroźne oblicze i skrzyżowane ręce babci. Ubrana była w jedwabną, niebieską sukienkę, na szyi miała krzyż a w uszach perłowe kolczyki. Widoczna była tylko do pasa, reszta ciała zasłonięta to tak, jakby była zbyt zniszczona lub zbyt delikatna dla oczu przybyłych gości.

Upływający czas zmieścił jej rysy, ale nadal wyglądała na zagniewaną kobietę – kogoś, komu nieszczęście wyrzyta na ciele nożem.

Niezależnie od tego, co czuł, kobieta, którą miał przed sobą była z tej samej krwi, co on, a jej DNA było dowodem na istnienie jego ojca. Właściciel domu pogrzebowego przyozdobił głowę zmarłej sztywnymi siwymi lokami, usta niedbale umalował różowymi szminkami, a policzki uwydatnił za pomocą jakiejś substancji, o której Ryan wolał nawet nie wiedzieć. Gdy przez chwilę znalazł się w pobliżu trumny, wyciągnął dłoń i dotknął ręki babci, czego od razu pożałował. Była zimna jak beton, twarda i pokryta mroźnym powłoką skóry. Czym jest życie, jeśli nie ciepłem i krwią?

Zamknął oczy.

– Cześć babciu – wyszeptała jakaś stara kobieta jego duszy, jak gdyby spodziewając się, że na dźwięk tych słów ona nagle ożyje. Znowu otworzył oczy i zobaczył, że teraz wygląda bardziej nieszczęśliwie i przerażająco niż kiedykolwiek.

Odwrócił się i idąc wzdłuż półnych róż układowych siadł w napis „Matka”, nerwowo badał oczami tłum zgromadzonych. Trzeba było wysłać jakieś kwiaty.

Miał wrażenie, że obserwuje go ktoś lub coś znajdujące się ponad nim – kamera przemysłowa zawieszona wysoko na niebie. To było to samo uczucie, które poczuł w przymierzalni. Spojrzał w górę i rozejrzał się po krokwiach. Niczego tam nie było.

Na pierwszej ławce w jednym z bocznych rzędów Ryan ujrzał tył potężnego siwowłosego mężczyzny baczenie studiującego program nabożeństwa. Ryan ponownie spojrzał na zdjęcie ojca. Czy by to był on?

Podszedł bliżej, chcąc się przyjrzeć. Co by zrobił, jeśliby po tylu latach spotkałby ojca? Co by powiedział? Zrobiłby scenę, upokarzając go za ból i cierpienie, do których się przyczynił? A może zalałby się łzami, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa albo tłumiąc w sobie gniew i tęsknotę?

Dziś nie dane mu było się tego dowiedzieć.

Mężczyzna odwrócił głowę, a Ryan ujrzał jego ostre rysy twarzy i małe czarne oczy. To znowu nie on.

Ludzie zaczęli już wychodzić, ale Ryan wciąż przesu kiwał wzrokiem tłum.

Zauważyła kobietę po drugiej stronie nawy. Wyglądała na około sześćdziesiąt lat, miała krótkie postrzępione włosy, szczupłą figurę i pełne ciepła oczy, które na jego widok jakby zablęskły na znak, że go rozpoznała. Uśmiechnęła się lekko. Była to Dorothy Stouten, młodsza siostra ojca. Ryan zmagął się ze zbyt silnymi emocjami, by móc z kimkolwiek rozmawiać, więc szybko odwrócił się i pomaszerował w stronę drzwi, by wrócić do samochodu.

Dorothy zaczęła go na parking.

– Ryan, to ty? Zaczekaj!

Zatrzymał się i spojrzał jej w twarz.

– Z trudem cię rozpoznałam – powiedziała kobieta.

Pomimo drżenia tego go smutku, Ryan poczuł się urażony jej słowami. Co miała przez to na myśli? Był przecież w o wiele lepszej formie, niż wówczas obecnych tu mężczyzn z opasłymi brzuchami zwisającymi poza białe pasy i wystających z kieszeni spodni paczkami papierosów. Przez dwadzieścia lat Ryan ćwiczył w akademickiej siłowni, jak gdyby przygotowując się na jakiegoś katastraf, podczas której powinien być w formie. Kiedy wierzył, że dzięki temu jest bardziej odporny i cieszy się lepszym zdrowiem. Nawet przed Sophie ukrywał fakt, że mimo tych starań, ostatnie badania wykazały w jego organizmie zbyt wysoki poziom cholesterolu i trójglicerydów.

– Jak to możliwe – zapytał swojego lekarza.

– Wiele rzeczy się dziedziczy – odparł lekarz. To była ostatnia rzecz, jaką Ryan chciał usłyszeć. Lekarz nie miał pojęcia, jak wiele trucizny mają w sobie te słowa. Szukał ojca, ale nie znaczyło to, że chciał mieć z nim cokolwiek wspólnego.

Tak naprawdę wszystko, czego do tej pory w życiu dokonał – jak dać katorniczą pracę, której podjął się w liceum, jak zdobyć ją, na której uczęszczał i jak zdobyć dziesięć tysięcy dolarów na koncie emerytalnym – stanowiło przeciwstawienie postawy ojca i miało na celu udowodnienie, że nie jest niezaradny i nieodpowiedzialny, lecz wiatry i wykształcony. Ryan był dumny ze swojej kariery uniwersyteckiej, wierności wobec Sophie, umiejętność zarządzania pieniędzmi, a także ze swego podej-

cia do syna, bo cho był wobec niego nieco surowy, nie s dził, i mogłoby to by dla dziecka krzywdz ce. Oczywi cie miał te cechy nieb d ce powodem do dumy. Sophie ch tnie mu o nich przypominała: był niecierpliwy, dra liwy i odnosił si lekcewa co do innych. Nikt nie jest jednak doskonały. Robił przecie , co w jego mocy i po prostu grał kartami, które mu rozdano.

Słowa Dorothy przerwały jego re eksje.

– Nie mieli my poj cia, e tu b dziesz, kotku. Po ceremonii wszyscy idziemy do domu. Mo e wpadniesz?

– Przykro mi, ciociu. Bardzo dzi kuj za zaproszenie, ale naprawd nie mog . Wpadłem tylko, by po egna si z babci .

Nie było adnego powodu, dla którego nie miałby z ni i – tak naprawd powinien był to zrobi , bior c pod uwag , i podró do tego zapomnianego przez wiat miasteczka zaj ła mu sze godzin. Jednak słowa Dorothy dotycz ce nierozpoznania go zupełnie odebrały mu entuzjizm.

– Twoja babcia ucieszyłaby si , wiedz c, e przebyłe tak drog tylko po to, by tu by – powiedziała Dorothy. – To jest najwa niejsze.

Za jej plecami otworzyły si drzwi kaplicy. Ryan zaniepokoił si , ale tylko do chwili, gdy zobaczył, e w drzwiach stoi jedynie nastoletnia dziewczyna.

Przełkn ł lin i spojrział na Dorothy. Musiał o to zapyta . – Mojego ojca tu nie ma? Nigdzie go nie widziałem.

Dorothy spojrziała na niego ze współczuciem. Zapewne ona równie miała swoje rozterki zwi zane z bratem.

– Nie, nie ma go tu. To dlatego przyjechałe ?

– Wydawało mi się, że nawet on ma w sobie tyle przyzwoitości, by pojawić się na pogrzebie własnej matki. Powinienem być siłą domyślić.

Dorothy zachichotała gorzko. – Pewnie się boi.

– Boi się ... czego? Czego u licha miałby się bać?

– Na przykład spotkania z tobą.

– Nawet by mnie nie poznał – powiedział Ryan.

– Ani ciebie, ani twoich braci – dokończyła Dorothy.

– Albo, co gorsza, twojej mamy.

– Tego powinien się bać. Mogłaby go błyskawicznie wysłać do więzienia.

– A właśnie nie, jak ona się ma?

Ryan stał na parkingu, a w jego głowie kotłowały się sprzeczne odpowiedzi. Nie chciał mówić prawdy – jego matka, która ponownie wyszła za mąż, jest zapewne w gorszej sytuacji niż kiedykolwiek. – Całkiem dobrze – skłamał – lepiej niż wtedy, gdy starała się nami zajmować, nie mając grosza przy duszy.

– Co by zrobił, gdyby jednak go tu spotkał? – spytała Dorothy.

– Nie jestem pewien. Może porozmawiałbym z nim.

Spojrzała na niego tak, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo. – Naprawdę? O czym?

Jej wścibstwo zaczynało działać mu na nerwy.

– Jest wiele tematów, uwierz mi – przez chwilę patrzył na nią badawczo. – Wiesz, gdzie on teraz jest?

Pokiwała przecząco głową, ale nie chciała spojrzeć mu w oczy.

Stali razem w milczeniu mijani przez tłum nowo przybyłych gości, głównie starszych kobiet niosących naczynia

nia przykryte foli aluminiow . Ryan pomy lał, e jed-
nocze nie musiały si odbywa trzy czy cztery pogrzeby.
W powietrzu unosił si zapach makaronu, sera i sma o-
nego mi sa mielonego. Zapach ten na chwil przeniósł
go do chwil z dzieci stwa, zanim jeszcze tra ł do rodziny
zast pczej i zanim jego prawdziwa rodzina si rozpadła.

– Ciesz si , e przyjechał Ryan. Nawet mimo tego,
e nie mo esz dłu ej zosta . Nikt z rodziny od lat nie
kontaktował si z twoim ojcem. Mo e tak jest lepiej. Dla
nas wszystkich – powiedziała Dorothy.

– Innymi slowy, wiesz gdzie on jest, ale mi nie po-
wiesz? W porz dku, rozumiem – odwrócił si i gwałtow-
nie otworzył drzwi samochodu.

– Zaczekaj chwil – Dorothy westchn ła, tak jakby
podejmowała jak osobist decyzj . – Gdy ostatnio
miałam kontakt z twoim ojcem, był w Kalifornii.

Ryan odwrócił si w jej stron . – W Kalifornii?
A dokładniej?

– Wła nie wyszedł z wi zienia i zatrzymał si u jakiej
kobiety w pewnym małym miasteczku, Gurn-co tam.
Mo e Guerneville? Ale to było wiele lat temu. Chyba
siedem czy osiem. Kto wie, gdzie teraz mo e by .

– Czemu tra ł do wi zienia?

Dorothy odwróciła wzrok od Ryana. – Chyba za na-
pa i pobicie. Zawsze miał skłonno do wyładowywa-
nia zło ci na kobietach. Przynajmniej tak słyszałam.

Ryan kr ył w t i z powrotem, staraj c si uspokoi .
Wie ci usłyszane od Dorothy nie były dla niego niespo-
dziank , ale napełniły jego ół dek ółci .

Nawet po tylu latach Ryan wci nie mógł uwierzyć , e jego ojciec przez cały ten czas nie starał si z nim skontaktowa . Ryan bardzo cz sto starał si zrozumie , czy w yciu Roberta mogło wydarzy si co , co tłumaczyłoby jego pora k i odej cie od rodziny. Czy kto si nad nim zn cał albo go zaniedbywał? Nikt jednak nie mógł mu pomóc w znalezieniu odpowiedzi. Nawet Dorothy zdawała si o niczym nie wiedzie .

– Nasz ojciec pił, a mama wydawała si bardzo odległa, ale zajmowali si nami – powiedziała, gdy j o to zapytał.
– Zawsze przy nas byli, chocia a tak si nie anga owali. Poza tym chyba nie działo si nic nadzwyczajnego.

– Pozostałe dzieci wyszły na ludzi, czy nie? – pytał Ryan.

– Tylko twój ojciec tra ł do wi zienia i tylko on si rozwiódł. Nie mog powiedzie , e jeste my najszcz - liwszymi lud mi na ziemi, ale jeste my normalni.

Je li siostra jego ojca nie mogła mu pomóc tego zrozumie , któ był w stanie to zrobi ?

– Słuchaj, przepraszam, je li byłem wobec ciebie nie miły – powiedział Ryan. – Po prostu chciałbym...

Dorothy podniosła r k . – Wiem. Pomimo tych wszystkich okropnych rzeczy, które zrobił, wci jest moim bratem, pami tasz? Moje uczucia te zranił – do tkn ła jego r ki.

– Uwa aj na siebie, kotku.

– Dobrze. – Ryan wsiadł do samochodu i otworzył okno.

– Miło było ci spotka , ciociu Dorothy. Mam nadzie - j , e nast pnym razem spotkamy si przy miłszej okazji. Uruchomił samochód i szybko odjechał.



DR WAYNE W. DYER – znany na całym świecie autor księzek i wykładowca zajmujący się tematyką samorozwoju. Napisał ponad 30 księzek, nagrał wiele płyt i filmów oraz wystąpił w licznych audycjach radiowych i programach telewizyjnych.



LYNN LAUBER – opublikowała trzy własne książki, a także współpracowała z wieloma innymi autorami. Specjalizuje się w krytyce literackiej, narracjach pamiętnikarskich i twórczości z zakresu rozwoju osobistego. Jej eseje ukazały się w *New York Times*.

PATRONI:



MIESIĘCZNIK
SZAMAN
CZŁOWIEK • ZDROWIE • NATURA



Cena: 24,20 zł

ISBN 978-83-7377-547-3



9 788373 775473